

KLASYKA MNIEJ ZNANA



Michał Czajkowski

UKRAINKI WYBÓR

universitas

UKRAINKI

WYBÓR

Michał Czajkowski, potem Sadyk Pasza (1804-1886). Wołynianin. Prozaik, polityk, żołnierz. Uczestniczył w powstaniu listopadowym, po jego upadku wyemigrował do Francji. Związawszy się z obozem A. J. Czartoryskiego, wyjechał na jego polecenie najpierw do Rzymu, a potem – w 1841 – do Konstantynopola. W 1850 roku zmienił wyznanie i nazwisko. Podczas wojny krymskiej był naczelnym wodzem kozaków sułtańskich. Z biegiem lat, osamotniony, zaczął na powrót spoglądać ku Rosji. Po uzyskaniu amnestii carskiej w 1872, powrócił w rodzinne strony, jednak ze względu na społeczny ostracyzm musiał przenieść się do guberni czernichowskiej. Zmarł tam śmiercią samobójczą. Jego najważniejsze utwory (m.in. powieść *Owrućzanin* 1841) poświęcone są historii Kozaczyzny i jej – idealizowanych przez pisarza – związków z Polską.

K L A S Y K A

M N I E J

Z N A N A

Michał Czajkowski

UKRAINKI
WYBÓR

Kraków

© Copyright for Klasyka Mniej Znana
by Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych
UNIVERSITAS, Kraków 2003

Podstawą niniejszego wydania wybranych opowiadań ze zbioru *Ukrainki* jest edycja: Michał Czajkowski, *Pisma*, t. 7: *Koszuwata* i *Ukrainki*, wyd. II przejrane i poprawione, Lipsk 1865. Tekst zmodernizowano według obowiązujących zasad ortograficznych i interpunkcyjnych.

Wybór i opracowanie tekstów
Paweł Bukowiec

Korekta
Jolanta Stal

ISBN 97883-242-1121-0
TAiWPN UNIVERSITAS

Projekt okładki serii
Ewa Gray

TRECH - TYMIROW

I

– Hej na koń! na koń! do szabel, Panowie bracia; zemsty! zemsty! – tak wołał mąż siwobrody i siwowąsy, cały w brzeszczotową zbroję przyodziany; na głowie u niego misiurka jeszcze z pyłu nieotrząśnięta, przy boku szabla, a u spodu na pochwie koński pot śliznie, widać, że tylko co zsiadł z konia i znowu chce na koń.

W tejże samej komnacie było kilku rycerzy takż zbrojnych od stóp do głowy; po uginaniu się kolan pod ciężkimi ciałami, po pociąganiu się w ramionach, po rozprostowywaniu wstaw widać, że i oni tylko co z siodeł zleźli. Ale był tam i człowiek w opończy bez zbroi, na twarzy zgrzybiały zmarszczkami, postawą garbiący się ku ziemi, jakby go ku niej chylił ciężar lat przeżytych na tym tu świecie; oczy miał zatroskane, a czoło pogodne, poglądał na pana i milczał.

Siwy rycerz chodził po komnacie; to boleśnie wołał, jakby nikogo z ludzi przy nim nie było:

– Moja stara żona, moje dzieci! – to dziko pomrukiwał – W pień Suzdalów, zemsta! zemsta! – i patrzył na swoich rycerzy: ich tylko kilku, ale gotowi na jego rozkazy; potrząsł głową, gorzko westchnął i stanął przed starcem w opończy.

– Bohdanie, mów jeszcze raz, jak to było, mów wszystko – oparł się o ścianę i ujął się ręką za policzek, żeby rycerzom nie pokazać, co się na jego twarzy dzieje.

Bohdan ze sromu czy z żalu, jeszcze bardziej oczy w dół ponurzył.

– W sam dzień Iwana Kupajły, kiedy lud biegł nad rzekę święte ognie zapalać i skoczne zabawy zawodzić i pieśniami Chrzcziciela sławić, Posadnica i trzy dziewice twoje, Posadniku, i twoje dziecko, syn jednak, wyszli na zabawy bratać się z ludem bożym, jak się to zawsze dzieje na naszej Rusi. Aż tu nadbiegło kilku młodych ogniszczan, wołając:

– Suzdale! Suzdale idą, uciekajmy.

Wszyscy uciekali, gdzie kto mógł; przed Suzdałem a przed dżumą jeden strach; choć oni nas powojowali, ciężko nawyknąć do obcego pana, nam, prostemu ludowi. Ćma Suzdałów zwała się do zamku. Posadnica kazała ich hojnie częstować jak przyjaciół kniaziowskich, cywunów do komnat zaprosiła. Ich dowódca był ten sam cywun Meszczerak, co dawniej ciebie tak często nawiedzał. Nie wiem, co tam się stało, bo zaraz po wieczery porwało mnie dwóch kniaziowskich grydniów, zamknęli w dolnej pieczarze i całą noc strzegli. Słyszałem jak przez sen, jakby dalekim rozgłosem przyniesione do ucha i krzyki, i wrzaski, i szczęk broni, i wielki tartas nad sobą w zamku. Białym dniem grydnio wie mnie wypuścili, mówiąc:

– Psie, pilnuj zamku – i poszli, a ja za nimi. W zamku pusto i głucho, ale w komnatach nic nie tknięto, wszystko na swoim miejscu było jak teraz; pytałem Suzdałów, gdzie się ludzie podzieli, co to wszystko znaczy?... oni na całą odpowiedź na koń siedli i pojechali. Ruszyłem do sioła, tam ni żywej duszy, istna pustynia, ani psa, ani koła w żadnej chacie nie było, wszystko przed Suzdałami w las uciekło. W kilka dni dopiero zaczęli się ściągać ziemiodzierzce i ogniszczenie, a nikt Suzdałów nie widział, bo do szlaku nikt się nie zbliżał. Już to od tego nieszczęścia księżyc po raz drugi nowiem się odświeżył.

Przestał mówić starzec, siwy rycerz słuchał pilnie, jakby po raz pierwszy to opowiadanie brzmiało w jego uchu, nawet czas jakiś milczenia nie przerywał, nareszcie na starszyznę swego rycerstwa spojrzął okiem, w którym za łzą migotały rozpacz i gniew:

– A wielu nas jest?

Jeden ze starszyzny się odezwał.

– Tu sześćdziesięciu ośmiu, z Tretiakiem idzie trzydziestu, w Kijowie z Raszką zostało dwudziestu dwóch. – I dodał –

A kiedyśmy szli z kniazem Bogulubskim na Torzek, było nas pięćuset konnych spełna, jak rybie oko.

– Prawda, zapomniałem – zgrzytnął zębami i przez zęby dla siebie samego mruknął – dobrze mi tak, służyć obcemu panu Suzdalowi, mam nagrodę.

Podniósł głos na gromki dźwięk rozkazu:

– Idźcie, każcie karmić konie, żywcie się sami, prześpijcie się i bądźcie w pogotowiu. Bohdanie, zostań.

Starszyzna wyszła, a on znowu zaczął chodzić po komnacie.

– Mało nie czterystu Rusinów głową nałożyło, za kogo? za Suzdała, wroga sławiańskiej Rusi. Ja piersi nadstawiałem, krew przelewałem; jak pies wiernie służyłem, komu? Wrogowi Rusi. Kto mi porwał żonę, dzieci, kto zelżył, zbezczeszczył moje stare lata! Sługa pana, któremu ja służyłem. Ha! ja Sławianin, potomek krwi sławiańskiej, służyłem Suzdalowi?... Choć ja stary, jeszcze się pomszczę.

Widać, że trzeba mu było, ażeby wyrzucił na jaw te słowa, bo trochę się uspokoił w swoim chodzeniu, nawet się zatrzymał.

– Bohdanie, dawny towarzyszu, stary mój piastunie, gdzie znaleźć ludzi Rusi?

– Posadniku, jak zechcesz...

– Gdzie? Mów.

– U wojewody Tymira.

– Ha, to mój wróg, on sługa Monomachowiczów, ja go ogłosiłem za zbrojcę bez czci i wiary.

– O! on ma i cześć, i wiarę. Olegowiczów nie uznał za panów, bo oni z Suzdałami się pobratali, a on Suzdałom służyć nie chce. Porzucił dostatki, poszedł w puszcze, za łoże przybrał gołą ziemię, za dach niebo, nieraz głód i chłód cierpi, a przed Suzdałami czoła nie chyli.

– Prawda, prawda, ale on duszę swoją i swoich zapisał rodowi Monomacha.

– Posadniku, wy się swarzycie, a Suzdał Ruś dzierży, was bezcześci.

Myślał posadnik:

– Ale ja wojewodę obrażę.

– On wszystko zapomni, bo tu idzie o walkę z Suzdałem.
– Ty myślisz?
– Pewny jestem, Tymir to krew sławiańska, szczere dziecko naszej Rusi.

– Stary, to choć guślarz, nie wiesz, że jeżeli się komu serce zakrwawi, to trudna z nim zgoda?

– Siry orzeł kocha skały swoich gniazd, orły wadzą się między sobą, niechże jaki sęp ich skały napadnie, razem, razem wszystkie na niego biją, a czyż ziemia ruska nie gniazdem naszym? Posadniku, czyż ty i Tymir nie Rusini? Czyż Suzdał nie wróg sławiańskiej Rusi? O! ludzie naszej Rusi nie gorsi, nie mniej kochają swoje gniazdo, jak sire orły – wyprostował się staruszek i oko się jego roztroskało, bo to Sławianin guślarz Rusi przemawiał do Sławianina rycerza Rusi o rodzimej ziemi, przeciw wrogowi Suzdałowi.

Potrząśł głową:

– Słuchaj Bohdanie, ja gotów, a gdzież znajdziemy wojewodę?

– O znajdziemy, znajdziemy, Posadniku. Jak siry wilk pójde na włóczęgę po wszej ruskiej ziemi; gdzie niedostępne puszcze, gdzie dzikie stepy, gdzie odludne ostrowy na naszym Dnieprze, tam zabręcę w struny mojej gęśli, zawiodę pieśń sławiańską, a odezwie się któryś z Tymirów, bo oni tam... znajdę ich, a ty ty, Posadniku, czekaj i gotuj zemstę na Suzdała.

– Ja pójde z tobą; ale ty stary, czy podołasz podróży? czy dosiedzisz na koniu?

– Oj, i nogami podołam, i koniem poharcuję, jak za dawnych czasów; krew ruska się nie starzeje, nogi nie sztywnieją, kiedy idzie o posługę dla rodzimej ziemi; zobaczysz, Posadniku.

I posadnikowi twarz rozmarzyła się zapalem:

– Pokłonię się Tymirowi, powiem mu: wasza prawda i razem na Suzdała, za kraj, za moich.

Bohdanowi kapąły z oczów łzy, ale łzy radości:

– Sokole mój, ja ciebie wypiautowałem, ja tobie od kolebki kładłem w ucho Bojanowe dumy o naszej Rusi; darło się mi serce, kiedyś ty, Posadniku, kłonił czoło przed Dołgorukim i Bogolubskim, suzdalskimi kniaziami, jakeś biegał pod ich znaki ze

swoim ruskim rycerstwem; o! ja twój piastun, chciałem ciebie porzucić i na stare lata pójść het precz w świat, ale woli mnie zabrakło i teraz tego nie żałuję; ty, Posadniku, rodzonaś dzieci-na twojego ojca. Tak zawsze robili twoi naddziadowie!...

Posadnik rzucił się w objęcia swojego piastuna:

– Bohdanie, idźmy, chodźmy, moja żona... moje dzieci... Ruś...

Bohdan ścisnął swojego pana i ze łkaniem powtarzał:

– Jedźmy, chodźmy... Ruś... Ruś...

Taka była rozmowa między Światosławem Daszkowiczem, posadnikiem Wasylkowskiej Ziemi, rycerzem znamienitym na Rusi, a jego piastunem Bohdanem. Po ścianach komnaty porozwieszane stare zbroje i broń stara, myśliwskie przybory, głowy odyńców z kłami, skóry wilcze i niedźwiedzie z pazurami i inne łowieckie łupy dodawały jakiejś dzikiej, ale ruskiej barwy obrazowi ściskającego się starca sługi z już niemłodym panem dla miłości ku rodzinie, ku Rusi; dla zemsty za rodzinę, za Ruś.

Było to w chwili, kiedy wnukowie Olega, spierając się o władztwo nad Kijowem z wnukami Monomacha, wezwali ku pomocy suzdalskiego kniazia. Jerzy Dołgoruki i jego syn Andrzej Bogolubski, wzięwszy na żołąd swój Połowców, runęli na kraj ruski; Olegowiczów i Monomachowiczów precz wygnali, po wszej Rusi szeroko rozpuścili pożogi, spustoszenie, śmierć i gwałty i tym sposobem własczyli dla siebie Ruś, Sławian od ruskiej ziemi gnali nad Kłazmę, nad Wołgę, a wysławiańszczoną Ruś chcieli posiedlić Suzdalami i Ugrami i zrobić niesławiańskie państwo. Rusini opuszczeni od kniazów przybylców, Rurykowego niesławiańskiego szczepu, przypominali sobie potęgę Bolesławów; jedna mowa, jedno i toż samo pochodzenie ciągnęły ich ku Polsce; ale Lachowie uplątani w niemieckie sprawy nie mogli podać bratniej ręki, a Suzdale jarzmo niewoli tłokli na Ruś. Na darmo Dołgoruki nastawiał moc warownych zamków po wszej ruskiej ziemi i posadzał je licznymi załogami Suzdalów i Połowców, na darmo obiecankami i cackami hołubił Rusinów i okrutnymi karami ich dręczył; choć nie jawna, ale kryjoma i zacięta wojna trwała. Nadprypeciańskie puszcze, stepy Ukrainy, dniewprowe i dniestrowe ostrowy zaludniły się Rusinami, co przysięgli mieczem i ogniem tępić Suzdalów i dotrzymywali jak mogli i jak

umieli. Wielu jednak Rusinów wprzęgło karki w suzdalskie jarzmo; ci jeździli z daninami do Dołgorukiego i z Bogolubskim chodzili na wojenne wyprawy; możne rodziny na Rusi jedne trzymały za suzdalskim kniazem, drugie przeciw; ciwuni jednak i grydniowie Dołgorukiego dławili i nękali wszystkich bez wyjątku i za łeb trzymali każdego, co nosił imię Rusina; zwyczajnie zawłaszczyciele.

Z powodu wojny Olegowiczów z Monomachowiczami między rodzinami Rusi były rozdwojenia, a nawet rodowe nienawiści; tak się też działo między rodzinami Daszkowiczów i Tymirów, podówczas znamienitymi na Rusi. Daszkowicze, stronniki Olegowiczów Suzdałowi się poddali. Tymirowie wierni Monomachowiczom, nigdy Suzdała ani za pana, ani za druha uznać nie chcieli. Światosław Daszkowicz, wasylkowski posadnik, ojciec trzech cór krasnolichych, Olgi, Heleny, Marty i syna Ostafiego, chodził z Bogolubskim na wyprawę na Torżek. Piotr Tymir, wojewoda czehryński, ojciec trzech synów, Wsześława, Jaropelka, Włodzimierza i córę Praksedy, rzucił dziedziczne zamki, peregorody i słobody, a poszedł z żoną na włóczęgę, na rozboje, za Ruś.

II

Niedaleko starego Urucza była puszcza, straszna dla ludzi, miła zwierzowi. Tu i owdzie jeżyła się skalami i mogiłami, tu i owdzie pożłobiła się w jarugi i podrażyła się w głębokie pieczary; miejscami zaplotła się ciemnym lasem, miejscami porosła kiciastą sosniną; a tyle tam łomów i wywrotów, wykotów, że i samemu diablowi trudno by tamtędy ścieżkę zrobić; tam źródła Usza i Zerewa, wody Norynia i Sławeczny natworzyły bez liku przepaścistych bagien i zgniłych jezior. Mnogie lata temu upłynęły, jak Kozagowie tam przebywali; stamtąd zagony zapuszczali po przednieprzańskiej Rusi i dlatego puszcze te zwano Kozagką Górą.

Nad sinym Dnieprem złotousty Bojan śpiewał Igorową wyprawę na kozagskie pułki więcej sto lat temu ubiegło. Bojan wstąpił w niebiosą śpiewać złote dumy Bogu Twórcy i świętym Pań-

skim. Koście wojennego Igora lichy robak toczy, jednak wsza Ruś powtarza Bojanowe dumy jak pacierz powszedni, sławi sławę Igorową jak spuściznę swoją. Kozagowie jak plewa przed wiatrem szczeźnęli z ruskiej ziemi, gdzieś zaginęli na przepadłe imię, a jednak puszczy pozostało zwanie Kozagskiej Góry.

Noc była, po niebiosach chmury za chmurami nawiałem gnały; czasami tylko bladolicy księżyc i jasnooka gwiazdka migną, błysną, podrażnią się z olbrzymimi cieniami puszczy i znowu znikną; a wiatr wyje, jakby wilcy i niedźwiedzie całej puszczy na raz wielkim korowodem zawiodły.

Tam w tej puszczy, w skalistej pieczarze, jakby w warownym zamku, przebywał wojewoda czehryński z żoną, z rodziną i z nielicznym, ale dzielnym poczetem wiernych Rusinów. Dziwne to było mieszkanie: w miejscu makat i kobierców szczerza opoka, w miejscu wezglowia i łoża mech i suche liście; a w pieczarze pełno rozmaitej broni i Rusinów pokotem śpiących. Wojewoda się cieszył tym przyborem komnat swojego nowego zamku, bo to nie łupy, ale śmierć dla Suzdala. Stary wojewoda jeszcze nie spał, w jednym załomie pieczary słuchał donosy swoich Rusinów i dawał im rozkazy. Twarz jego była sucha, blada, oko smutkiem przyterane, ale czoło pogodne, harde i postawa rosła, mimo wiek jeszcze się czwaniąca. Słowa jego były krótkie, ale kto je odebrał, długo, długo się nimi cieszył.

Porozchodzili się wszyscy, jedni spać, drudzy w drogę. Wojewoda ukląkł i pomodlił się, potem przyszedł nad łożę żony, stanął i zegnał krzyżem świętym i ją, i dziewczynę swoją jedynaczkę. Wojewodzina się przebudziła.

– Panie, a wrócili nasi synowie?

– Jeszcze nie.

– Tak długo! – i w oczach jej zazwierciedliła się macierzyńska obawa.

– Oni wrócą. Śpij, Anno.

– A ty, Panie?

– I ja spać pójdę.

Anna zmrugała oczy niby do snu, a marzyła o synach i za nimi do Boga się modliła. Wojewoda owinał się w siermięgę niby do snu, a na mchu obok żony się nie położył, tylko cichutko

wyszedł z pieczary wyglądać i wysłuchiwać. Ciemno, nic nie widać, tylko czasem jak robaczki świętojańskie u dołu puszczy zamigoczą wilcze oczy, ale Rusin wilka się nie lęka i wilk nie stracha się Rusina; od czasu najścia Suzdałów oni pokumali się z sobą. Nie raz i nie dwa Rusin na szlaku, około slobody zamordował Suzdała albo Połowca, a wilk pożarł wraz ściervo i stąd kumostwo. Ale co do ucha, to różne posłuchy się niosły. Łosie na żer pędzą, łomoczą puszcza, jakby tabun wojennych koni kopytami stukał po szlaku; lisy poszczekują, niby zwiadnika wabi zwiadnik; sowa jęczy jak płaczka Rusinka za zmarłymi dziećmi; niedźwiedź porykuje niby Suzdał ranny, a wiatr wyje i szumi wrzawą wojny. Wojewody ucho wprawne, wszystko to zna i nie słyszy ani kroków ludzkich, ani głosu ludzkiego; tęskni za synami, o coś ważnego się niepokoi i marzy o swojej Rusi. On ojciec; on Rusin.

Tak przemarzył aż do świtu, obejrzał się poza siebie; tam o kilka kroków na kamieniu siedzi wojewodzina, nie czekała za-
pytania.

– Nasze dzieci, oni poginęli, wpadli w ręce Suzdała – płakała i załamywała wyschłe ręce.

– Nie płacz, Anno, oni żyją, oni wrócą; tyś Rusinka, oni dzieci Rusi – silniej te słowa wymawiał, choć łzę w oczach powstrzymał.

Wtem gwizdnięcie dało się słyszeć w puszczy, jedno, drugie i trzecie.

– To oni! To oni! – wojewoda sam odgwizdnął i jakby cudem bożym ziemia puszczy porodziła kilkunastu zbrojnych Rusinów; to strażnicy puszczy. Niebawem ukazał się z puszczy młodzieniec hoży, rosły, przybrany w sirak prostego slobodnika. Wojewodzina krzyknęła:

– Włodzimierz! A bracia?

On nie miał czasu matce odpowiedzieć słowem, uściskiem, bo go ojciec zapytał:

– A Kniaź?

– Idzie, ojcie, ja ich o kilka gon tyłko wyprzedziłem.

– Z kim?

– Z Wszesławem, z Jaropelkiem.